



TRZY KOBIETY W ŻYCIU MALARZA.
I KAŻDA UWAŻA SIĘ
ZA TĘ JEDYNĄ.

Wciągająca powieść
o muzach, zdradzie i pasji.
„DAILY MAIL”

MADAME MATISSE

Fascynujące portrety
niezwykłych kobiet.

ELIZABETH FREMANTLE

SOPHIE HAYDOCK

ALBATROS

Tytuł oryginału:
MADAME MATISSE

Copyright © Sophie Haydock 2025

All rights reserved

Sophie Haydock has asserted her right under the Copyright, Designs
and Patents Act 1988 to be identified as the author of this work

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny i ilustracja okładki oryginalnej: Andrew Davis

Projekt graficzny okładki polskiej: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okleinie: Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ULTIMATUM

Nicea, 1939

Amélie Matisse wchodzi do pokoju Lidii, chowając w kieszeni widelec z długimi, ostrymi zębami.

Wszystko jest tu starannie uporządkowane, na swoim miejscu, grzbiety książek wyrównane, trzy gruszki ułożone na parapecie w idealnie równej odległości od siebie; właściwie wszystko wygląda tak samo jak w chwili, gdy była tu ostatnio, żeby się rozejrzeć. Lidia Delektorska mieszkała z nią i jej mężem w Nicei przez większość minionej dekady, ale co właściwie Amélie wie o tej tajemniczej młodej kobiecie?

Odkąd Lidia zamieszkała u nich wiosną 1932 roku, Amélie nieustannie ją wspierała. Co właściwie różniło ją od innych dziewczyn? Amélie przypomina sobie komplement dotyczący jej ręcznie haftowanego szala, zapal, z jakim Lidia podjęła się trudnej roli, podczas gdy inna młoda kobieta nie zrobiła na niej większego wrażenia, no i to, że Lidia przysłała do nich z bukietem świeżych kwiatów. Nikt prócz niej tego nie zrobił.

Kiedy Lidia się u nich pojawiła – obca dwudziestodwuletnia cudzoziemka, doświadczona przez los – była tylko jedną z wielu dziewczyn, które zatrudniali wcześniej do pomocy w domu, by

wspomagały Amélie, podupadającą coraz bardziej na zdrowiu. Skromna, pracowita, słodka Lidia rozwiązywała każdy problem spokojnie i skutecznie – i jakież mieli szczęście, że udało im się znaleźć pomocnicę, która nie odpyskiwała i traktowała ich z należyty szacunkiem. Taka miła dziewczyna to rzadkość. Potem, w miarę upływu czasu, Amélie była pod coraz większym wrażeniem pomysłowości Sybiraczki, jej rzutkości i gotowości do uczestniczenia w ich życiu. Lidia z oddaniem opiekowała się nią, dzięki czemu okresy przymusowego leżenia w łóżku były znośniejsze.

Przez pierwsze lata Henri prawie nie zauważał dziewczyny. Nie chciał, by ktokolwiek kręcił się po jego pracowni, i z pewnością nie zamierzał rysować tej akurat kobiety. Nie była w jego typie. Amélie zakładała, że Lidii nie będzie interesował mężczyzna, który mógłby być jej ojcem, i że jej mąż nie nawiąże bliższych relacji z dziewczyną młodszą o dziesięć lat od jego córki, Marguerite.

Matisse'owie zawsze dobrze traktowali pracujące u nich kobiety – płacili im więcej, niż było to konieczne, i naginali zasady, by zapewnić im trochę stabilności. Byli mili. Dzisiaj jednak Amélie widzi wyraźnie, że Lidia wykorzystała jej dobroć i zerowała na jej ciągłych kłopotach ze zdrowiem, przenikając do samej tkanki ich domu, sprawiając, że stała się niezbędna. Ostatnio Amélie widuje męża tylko przy posiłkach, kiedy siedzą naprzeciwko siebie w milczeniu. Henri cały czas spędza z Lidią. Właściwie nie wiadomo, co z nią robi.

Amélie ma dość.

Chodzi po pokoju, powłócząc nogami; jej laska stuka uparcie w deski.

Powietrze jest wilgotne, co rzadko zdarza się w kurorcie takim jak Nicea, słyszącym z upałów latem. Minęło już kilka

miesiący, odkąd wczasowicze opalali się na plaży albo pluskali w morzu. A jeszcze więcej czasu upłynęło, odkąd ona oddawała się takim przyjemnościom. Z powodu chronicznej choroby – bólu pleców i brzucha – a także okresów bierności i poczucia beznadziei, które dotykały ją po urodzeniu dzieci, musi mnóstwo czasu spędzać w łóżku.

Przystaje i uważnie nasłuchuje kroków. Nie ma już takiego dobrego słuchu jak kiedyś, ale zachowuje wciąż doskonały wzrok. Kiedy jest pewna, że w pobliżu nikogo nie ma, opiera łaskę o szafę, przykłada sztywno na podłogę, wyciąga spod łóżka walizkę Lidii i kładzie ją na kołdrze. W skórce są wytłoczone inicjały MD. Amélie zastanawia się, kto był poprzednim właścicielem. Może jakiś kochanek, mężczyzna z przeszłości Lidii?

Przez chwilę ma wyrzuty sumienia, że narusza w ten sposób prywatność pracownicy. Każdy ma sekrety, rzeczy, które wolałby trzymać w ukryciu; najgorsze strony samego siebie, które nie powinny nigdy ujrzeć światła dziennego. Amélie otrząsa się jednak szybko z tego uczucia. Musi to zrobić, żeby przekonać się raz na zawsze, z jaką kobietą ma do czynienia.

Mocuje się z zamkami na walizce, licząc na to, że może Lidia zapomniała ją zamknąć. Niestety, nie. Ta kobieta zajadłe strzeże swojej prywatności. Przez cały czas, kiedy się znają, nigdy nawet nie wspomniała o swoim życiu poza murami tego domu ani o tym, co robiła, zanim rozpoczęła pracę u Matisse'ów. Amélie zastanawiała się często, jak wyglądało jej dorastanie na Syberii i jak trafiła do Francji, całkiem sama.

Ale pierwsze i najważniejsze pytanie, na które chce uzyskać odpowiedź, dotyczy stosunku Lidii do jej męża. Ci dwoje bardzo się do siebie zbliżyli i byłiby głupcami, jeśli uważaliby, że ona niczego nie zauważyła. Tylko bardzo bystry obserwator może to dostrzec, ale Lidia jest bezwzględna; zawsze starała się zdobyć,

co tylko mogła, podczas gdy Amélie była stopniowo spychana na margines, aż stała się kimś obcym we własnym domu. Na każdym kroku natrafia na ślad Lidii, a ślady jej – żony – są wymazywane. Lidia twierdzi, że w tym wszystkim chodzi tylko o Henriego, o jego potrzeby, o jego cenny rozkład zajęć. Nikt nie może mu przeszkadzać ani go rozpraszać – najwyraźniej nawet żona. W głębi ducha Amélie jednak wie, że to bitwa o kontrolę. A ona nie jest przygotowana do porażki w takiej walce.

Wydaje się, że wszyscy dokoła zapomnieli o jednym istotnym fakcie: Amélie potrafi być groźna. Może i ma już sześćdziesiąt osiem lat, rzadzące i siwiejące włosy, może się roztyła i nie jest już w stanie szybko się poruszać, ale nie jest jakąś głupią kobietką, która da się zepchnąć do przypisów w życiorysie męża. Tak, być może straciła coś na przestrzeni lat, ale w głębi duszy jest tą samą kobietą co kiedyś, wypełnioną nieugaszoną żądzą, która działa najlepiej i najszybciej, gdy dom wokół niej płonie. W końcu przetrwała to wszystko i razem z Henrim osiągnęła niemożliwe, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu.

Gdy w zeszłym miesiącu próbowała porozmawiać o tym z Henrim, przekonał ją, że Lidia jest mu koniecznie potrzebna do tworzenia. Wtedy odpuściła, ale teraz już nie da się zbyć. Marguerite, jego córka, poradziła jej, by poszukała jakiegoś dowodu, czegoś, co potwierdzi jej podejrzenia. Marguerite nigdy nie lubiła Lidii i z podejrzliwością przyglądała się bliskim relacjom ojca z Rosjanką. Zrób, co trzeba, powiedziała.

Amélie nie jest z tego dumna, ale od tygodni przeszukuje pokój Lidii, próbując zdobyć coś, co sprawi, że mąż potraktuje ją – i jej podejrzenia – poważnie. Jak dotąd niczego nie znalazła, prócz tej przeklętej, zamkniętej na klucz walizki pod łóżkiem. Co ta kobieta ukrywa? Listy od Henriego, w których obiecuje jej cały świat? Rysunki, które jej dał albo które wzięła sama, bez jego

pozwolenia?

A może coś jeszcze bardziej niepokojącego?

Tym razem, podczas gdy Lidia zajmuje się Henrim, Amélie przychodzi do jej pokoju odpowiednio przygotowana. Wyjmuje z kieszeni szlafroka widelec, którym zamierza otworzyć zamek. Wsuwa zęby sztucca w zatrzask. Napina mięśnie. Jest już tak blisko...

I nagle słyszy głośny wdech. Początkowo myśli, że sama wydała ten dźwięk, dopiero potem włosy stają jej na karku. Odwraca się i widzi ją stojącą na progu pokoju.

– Nie waż się – ostrzega Lidia, wbijając wzrok w walizkę.

Lecz choć Amélie została schwytana na gorącym uczynku, nie zamierza się wycofywać.

– Jeśli mój mąż pisze do ciebie albo daje ci prezenty, mam prawo o tym wiedzieć.

Lidia głośno wciąga powietrze.

– Nie obrażaj mnie – rzuca.

– Nie po raz pierwszy zawiodłabyś moje zaufanie – dodaje Amélie. – Więc wybaczone, ale tym razem nie przymknę oka na swoje podejrzenia.

– Twoje podejrzenia są nieuzasadnione, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

– Więc dlaczego nie otworzysz tej walizki i nie rozwiejesz moich obaw?

Lidia kręci głową.

– Więc sama wyciągnę wnioski, jeśli pozwolisz – rzuca Amélie.

Znów porusza widelcem w zamku, próbując szczęścia, zanim będzie musiała wyjść; tym razem słyszy cichy trzask. Wykorzystuje moment: nie odrywając wzroku od Lidii, podważa zatrzask i otwiera walizkę.

Lidia dopada jej jednym skokiem i próbuje odebrać swoją własność, lecz Amélie trzyma mocno walizkę; zaciska dłoń na ręczce, próbując choćby przelotnie zobaczyć, co jest w środku. Wygląda na to, że to głównie dokumenty, po francusku i w jakimś innym języku. Nie widzi zbyt wiele, więc raz jeszcze szarpie. Dokumenty przesuwają się i wyslizgują z walizki.

Pod spodem coś błyszczący metalicznie. Dobry Boże... Amélie aż zachłystuje się z wrażenia. Czy to był rewolwer?

Jeśli w tym domu jest rewolwer, to zmienia wszystko.

1

Paryż, 1897

Jeśli miałyby zdecydować, obok kogo chce usiąść na przyjęciu weselnym, ten zaniedbany młody mężczyzna z rudymi włosami i rozczochną brodą z pewnością znalazłby się na ostatnim miejscu jej listy. Amélie zbliża się do swojego miejsca u szczytu stołu, zastawionego kryształowymi karafkami, delikatną porcelaną i flakonami pełnymi rozwiniętych kwiatów, i odwraca wzrok, nim rudowłose młodzieniec ma szansę rozpocząć rozmowę. Światło odbija się od wypolerowanych sreber, kieliszków z rżniętego kryształu i klejnotów zdobących długie szyje kobiet z wysoko upiętymi włosami, siedzących w wielkiej sali. Efekt jest oszałamiający, a Amélie zajmuje swoje miejsce z obojętną miną, choć w duszy wzdycha z zachwytem.

Jest druhną, więc właściwie należałoby ją spytać, gdzie chce siedzieć. Panna młoda, jej kochana przyjaciółka Juliette, obecnie już madame Fontaine, synowa burmistrza Bohain-en-Vermandois, wie, że Amélie ma pewne uprzedzenia i swoje gusta. Zaprzyjaźniły się w paryskiej szkole z internatem, która zdaniem rodziców miała im zapewnić świetne wykształcenie. Czy Juliette nie mogła jej posadzić po drugiej stronie stołu, obok brata pana młodego, który wydawał się sympatyczny i nie wyglądał

na dziwaka? Amélie ma dwadzieścia pięć lat i mimo oczekiwań rodziny i nacisków ze strony przyjaciółek nie szuka desperacko kandydata na męża i dziś chciałaby jedynie odbyć z kimś inspirowaną rozmowę. Choć gdyby ktoś ściągnął na siebie jej uwagę i odważyłby się ją zatrzymać, nie miałaby nic przeciwko czemuś więcej.

Ostatecznie chce stać się kimś lepszym dzięki temu, że ktoś dobrze ją pozna.

Podczas ceremonii ślubnej nie mogła nie zauważyć rudowłosego młodzieńca, który stał obok pana młodego i usiłował poprawić sobie fular, gdy panna młoda szła do ołtarza. Wygląda na żartownisia, pełnego ukrytej energii. W niedopasowanym brązowym garniturze przypomina urzędnika, który lubi wywoływać gniew przełożonych. Amélie – produkt kosztownej liberalnej edukacji, córka rodziców o socjalistycznych poglądach, którzy mimo to ocierają się o paryską elitę – traktuje władzę z pogardą, ale nie dąży do konfrontacji dla samej konfrontacji. Jej zdaniem tylko głupiec postępuje w taki sposób. Jeśli zamierzasz spalić dom, to lepiej sięgnij po zapalkę, nim ktokolwiek to zauważy.

Tak, Juliette powinna była dopilnować, by Amélie została posadzona obok jakiegoś zajmującego, interesującego młodzieńca, a nie tego dzikusia, który ciągle łapie kelnera za łokieć, by wydebić od niego kolejną butelkę wina. Ma już dwie, jeszcze nieotwarte, ukryte pod stołem między swoim a jej krzesłem, które trąca stopami, gdy poprawia się na siedzisku.

Amélie starannie rozkłada serwetkę i kładzie ją na kolanach.

– Henri Matisse – przedstawia się mężczyzna, gdy jego sąsiadka siedzi już wygodnie, i wyciąga do niej dłoń.

Nie zdoła go uniknąć; będzie musiała nagiąć swoje zasady i włączyć się w tę rozmowę.

– Mademoiselle Parayre – mówi z lekkim uśmiechem, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że nie powinien traktować tego jako zachęty. – Amélie.

– Amélie, czy jest pani kobietą, która lubi, gdy jej kieliszek jest napełniony po sam brzeg? – pyta wprost młody człowiek. Zwraca się do niej po imieniu, gwałcąc wszelkie zasady dobrego zachowania, i przystawia szyjkę butelki do krawędzi kryształowego kielicha. – Czy też taką, która woli tylko odrobinę wina na dnie? – Wlewa do kieliszka nie więcej niż naparstek rubinowego napoju. – Żeby mogła sprawiać pozory powściągliwości i czerpać satysfakcję z wielokrotnych dolewek? – Uśmiecha się.

Amélie wypatruje w jego twarzy jakichś oznak lubieżności czy prostactwa, co potwierdziłoby jej pierwsze wrażenie, jej sąsiad wydaje się jednak otwarty i życzliwy. Na twarzy ma pełno piegów od długiego przebywania na słońcu, choć jest wilgotny dzień w środku października. Jego błękitne oczy patrzą na nią z sympatią i szelmowskim błyskiem, który nie jest wcale odpychający.

Och, jak ona nie znosi się mylić.

– Jestem kobietą, która woli sobie sama nalewać – oznajmia Amélie zdecydowanie, po czym bierze od niego butelkę, wlewa do kieliszka więcej niż odrobinę, choć nie napełnia go całkiem, i stawia ją na stole między nimi.

– Rozumiem – odpowiada młodzieniec, przyglądając się Amélie, gdy ta pociąga łyk. Sam opróżnia kielich jednym haustem; wewnątrz jego warg jest już ciemne od tanin.

Amélie uśmiecha się mimowolnie. Posiłek będzie trwał co najwyżej dwie godziny. Wytrzyma. Zawsze wytrzymuje. Kelner kładzie na środku stołu tacę z lśniącymi ostrygami.

– Skąd pan zna pana młodego? – pyta Amélie.

Henri sięga po ostrygę teatralnym gestem, połyka ją i dopiero

wtedy odpowiada.

– Ferdinand i ja dorastaliśmy razem w Bohain, chodziliśmy do tego samego liceum. Odkąd nauczyliśmy się chodzić, doskonaliliśmy się w sztuce unikania wszystkiego, co nieprzyjemne. Jego ojciec... siedzi tam... – Wskazuje na otyłego mężczyznę z bujnymi włosami, w marynarce ozdobionej lśniącoymi medalami. – Przez długi czas był burmistrzem. Zawsze okropnie się go baliśmy i szybko zrozumieliśmy, gdzie chodzić, a gdzie nie. Mimo to wiele razy dostaliśmy porządne lanie. Wygląda na to, że Ferdinand wyciągnął z tego odpowiednią naukę... Spójrz tylko na niego.

Pan młody, przystojny mężczyzna z rozpromienioną panną młodą, siedzi w otoczeniu paryskich znakomitości, odbiera gratulacje i pielęgnuje koneksje.

– A ja najwyraźniej niczego się nie nauczyłem. – Henri uśmiecha się i przełyka następną ostrygę.

Amélie sięga po pierwszą. Jest słona i delikatna.

– Ja jestem nieudacznikiem, i to pod każdym względem – kontynuuje jej sąsiad. – Jako syn jestem największym rozczarowaniem ojca, bo nie chciałem przejąć rodzinnego interesu. Nigdy nie miałem zadatków na handlarza nasionami. Mam zbyt delikatnie dłonie. – Pokazuje je; są zadbane i z pewnością miękkie w dotyku. – Jako mężczyzna porzuciłem obiecującą karierę prawnika. A jako ojciec... – Upija łyk wina i kręci głową. – Nie powinienem mówić ci tego wszystkiego. Piękna kobieta, obok której mam szczęście siedzieć podczas tej wspaniałej uroczystości, z pewnością nie chce wysłuchiwać opowieści o życiowych nieszczęściach wyjątkowo niewyjątkowego mężczyzny.

Zatrzymuje przechodzącego obok kelnera, przejmuje kolejną butelkę i stawia ją obok pozostałych pod stołem.

– Och, proszę nie robić takiej miny, nie wypiję ich wszystkich

od razu – mówi, bo zauważył, jak Amélie spogląda na niego spod przymrużonych powiek. – Przemycę je na zewnątrz i podzielę się z przyjaciółmi. Nasze szafki świecą pustkami.

Henri zaciera dłonie, a ona zauważa, że nie nosi obrączki.

– Czym się więc pan zajmuje, monsieur Matisse, jeśli nie prawem?

– Jestem artystą. – Mężczyzna wzdycha. – I to niezbyt dobrym, jeśli wierzyć opiniom moich nauczycieli i krytyków.

Amélie z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Zawsze unikała artystów, to jedna z jej złotych zasad, która dotyczy również brodaczy. Za dużo kłopotów, za mało korzyści. Za wielkie... ego.

I ten ciągły brak pewności siebie. Nie należy oczekiwać od kobiety, by stale podnosiła męczyznę na duchu, wspierała go w dążeniu do wielkości, która być może zawsze będzie poza jego zasięgiem. Amélie wie, że artyści muszą nieustannie zaglądać w głąb swojej duszy. Nie znosi takiego skupienia na sobie. Chce już o tym powiedzieć, kiedy rozmowy dokoła cichną, bo kelnerzy wnoszą następne danie; tace ze skwierczącymi piersiami kaczki, gratin dauphinois i sałatę.

Słychać szcęk sztuców i po chwili sala znów wypełnia się szumem rozmów.

Amélie sięga po nóż i widelec.

– Artystą? – powtarza uprzejmie, starając się nie unosić brwi. – Moja rodzina często gościła artystów, gdy byłem jeszcze dzieckiem i mieszkaliśmy na południu, w Beauzelle. Ojciec był aktywistą i redaktorem naczelnym miejscowej gazety. Teraz pracuje dla najbogatszej pary we Francji. Jak się pan zapewne domyśla, zawsze mieliśmy przy stole dość eklektyczne towarzystwo.

– Może się pani uważać za szczęściarę. Moje dzieciństwo wypełniały głównie nasiona. Nim skończyłem dwadzieścia lat, nawet nie słyszałem słowa „artysta”, nie wspominając już o tym,

żebym jakiegoś poznał lub wyobrażał sobie, że sam mogę nim zostać. To matka po raz pierwszy wcisnęła mi w dłonie pudełko z farbami. Leżałem wtedy w szpitalu, z zapaleniem wyrostka robaczkowego, i śmiertelnie się nudziłem. Pomyślała, że to pomoże mi jakoś zabić czas. Gdy tylko wziąłem do ręki pędzel... – Henri przerywa na moment i spogląda na nią kątem oka. – Natychmiast poczułem, że sztuka to coś, dla czego warto umrzeć, i że rzucę wszystko, co mam, by się nią zajmować. Instynkt mnie nie zawiodł, bo oto jestem tutaj, zbliżam się do trzydziestki i właściwie nie mam niczego. – Podnosi kieliszek z uśmiechem, lecz za jego słowami kryją się bez wątpienia silne emocje.

– Na pewno nie jest tak źle – mówi Amélie.

– Sama może się pani przekonać! Podarowałem Ferdinandowi martwą naturę, którą namalowałem na Belle-Île. Jest bardzo konwencjonalna. Jabłka. – Henri przewraca oczami. – Proszę mi powiedzieć: kto chciałby patrzeć przez cały dzień na jabłka?

– Mam nadzieję, że Ferdinand.

Spogląda na nią i śmieje się.

– Nie jest aż tak niewyrobiony. Ma oko do takich rzeczy, potrafi je docenić. Podarowałem mu nawet ten pierwszy obraz, który namalowałem farbami od matki. Może kiedyś będzie dzięki temu bogaty, jako właściciel oryginalnego dzieła wielkiego Matisse’a, tego niedocenianego głupca. – Rozkłada ramiona. – Następny namaluję dla pani, co pani na to?

– Musi pan obiecać, że temat będzie nieco bardziej ekscytujący niż jabłka – odpowiada Amélie.

Henri łapie się teatralnym gestem za serce, potem jednak cudem ożywa i zabiera następną butelkę wina z tacy przechodzącego obok kelnera.

– Mógłbym namalować panią. – Poczyna sobie coraz śmielej. – Ma pani piękne ramiona. – Delikatnie śledzi odsłoniętą

krągłość jednego z ramion, celując w nie czubkiem noża. Chwila wypełnia się nagłym napięciem. Potem Henri nieoczekiwanie zmienia taktykę, odkłada sztucce i wyciera usta. – A co pani powie na kwiaty? – Sięga ponad talerzem, zaciska palce na łodydze gipsówki z kwiatkami delikatnymi i jasnymi jak konstelacje gwiazd i wyjmuje go z bukietu pośrodku stołu.

Matka panny młodej obserwuje to z wyraźną dezaprobatą, lecz on tego nie zauważa. Wkłada długą łodygę między zęby i uśmiecha się jak klaun.

– Rzeczywiście, niepoważny z pana człowiek – przyznaje Amélie, pocierając ramię. Wyjmuje gipsówkę z jego ust i odkłada ją na miejsce. – Kiedyś musi pan się postarać, żeby w końcu zaczęto pana traktować poważnie.

– A jakie są pani ulubione kwiaty, mademoiselle? – pyta, nalewając sobie więcej wina. Chce dolać również jej, ale się powstrzymuje, stawia butelkę na stole przed nią i gestem zaprasza, by się częstowała. – Róże? Lilie? – Przygląda się jej uważnie. – Nie, pani nie jest tego rodzaju kobietą. Tyle już zrozumiałem.

– Fiołki – odpowiada Amélie. – Uwielbiam je, odkąd byłam małą dziewczynką.

Henri nie odrywa od niej spojrzenia.

– Jako chłopiec włóczyłem się po polach wokół Bohain. Rozchylałem wysokie trawy, szukając fiołków. Zbierałem tyle, ile tylko byłem w stanie utrzymać, zanosilem je do domu i dawałem mamie. Wkładała je do słoika i stały na stole, dopóki nie zwiędły.

– Piękne rzeczy nie trwają długo, dlatego musimy je doceniać, dopóki możemy – zauważa Amélie, rozglądając się po sali. – Ta sekunda, jak wszystkie inne, które pojawiły się przed nią, przeminie jak płatki kwiatów i zostanie zamknięta w podręcznikach historii.

– Cóż, czuję, że chętnie włożyłbym tę konkretną chwilę

między stronicę jakiegoś grubego tomu i zaglądał do niej od czasu do czasu – mówi Henri, patrząc jej w oczy.

Amélie ma wrażenie, że sąsiad dąży do bliskości między nimi, i nie może zaprzeczyć, że czuje pewne przyciąganie, coraz wyraźniejsze, coraz bardziej natarczywe. Podoba jej się wyzwanie, jakim jest dla niej ten człowiek. Niełatwo znaleźć mężczyznę, który jest szczery, a przy tym nie lekceważący, dostrzega każdy dotyczący jej szczegół, ale nie obsypuje jej komplementami. Kogoś, kto traktuje ją jak równą sobie, a nie nagrodę, którą należy zdobyć, żeby potem się tym pysznić.

To wydaje jej się niepokojące. Wraca myślami do poprzedniego wątku.

– Nawet jeśli zasuszymy kwiaty, tracą część swojej istoty – mówi, powoli wymawiając słowa. – Mogą się pokruszyć albo wyblaknąć. Tracą zapach. Radość kryje się w świadomości, że ich piękno jest ulotne.

Henri chce coś powiedzieć, ale w tym momencie rozlega się brzęk noża uderzającego o szkło i wszyscy milkną.

– Cóż, nadeszła ta chwila. – Wzdycha ciężko. – Proszę mi życzyć szczęścia. – Bierze głęboki wdech, spogląda na nią szeroko otwartymi oczami, po czym sięga do kieszeni i wyciąga kartkę zapisaną tak niewyraźnymi literami, że Amélie nie byłaby w stanie ich odczytać. – Oczekują, że teraz w końcu zabłyszczę. – Puszczą do niej oko, potem zakłada okulary w cienkich oprawkach i wstaje, by zwrócić się do zebranych.

Żartuje sobie dobrotliwie z pana młodego, wznosi toast na cześć panny młodej, dziękuje rodzicom młodej pary i zerka na Amélie, gdy wznosi toast na cześć druhen. Przeciąga dłonią przez włosy, poprawia koszulę, która wychodzi ze spodni, zęby ma zabarwione winem, lecz jego żywiołowość i ten szelmowski błysk widoczny dla wszystkich zjednują mu większość gości.

Kiedy Henri gawędzi z Ferdinandem, madame Fontaine, matka pana młodego – olśniewająca dama w szarym jedwabiu, z klejnotami zwisającymi z uszu – podchodzi do Amélie niepokojąco zdecydowanym krokiem.

– Mademoiselle, jeśli można... Widzę, że jest pani dobrze wychowaną młodą kobietą – mówi uprzejmie, ze szlachetnym jak rżnięte szkło akcentem, mrużąc oczy z tą okrutną uprzejmością tak charakterystyczną dla wyższych klas. – Proszę więc cierpliwie wysłuchać mojego ostrzeżenia. – Jej tęczyówki są zielone niczym szmaragdy na jej palcach. – Znamy Henriego Matisse'a od dziecka. Pochodzi z dobrej, pracowitej rodziny, która zawsze chciała dla niego tego, co najlepsze, i starała się mu pomagać w osiągnięciu życiowego sukcesu. Niestety, ostatnimi laty stał się głupcem, wykołował się i zmarnował swój potencjał. Nie chciałabym, żeby pociągnął za sobą dobrą, uczciwą dziewczynę. – Przerywa i wyraźnie czeka na jakąś reakcję. Amélie milczy, więc matka Ferdinanda po chwili dodaje: – Młody Matisse to lekkomyślny człowiek. Z pewnością już to pani zauważyła. Obawiam się jednak, że nie to jest najgorsze. On ma dziecko, nieślubne.

Amélie jest zbulwersowana, lecz nie tyle tą ostatnią informacją, ile podłością tej kobiety, która zdradza jej tego rodzaju tajemnice w tak wyjątkowej chwili.

– Dowiedzieliśmy się niedawno, że matka tego dziecka – ciągnie madame Fontaine – młoda kobieta... bez żadnej pozycji czy majątku... która pozowała mu do obrazów, uznała, że dla własnego dobra powinna go zostawić. Do jakiej sytuacji musiał ich doprowadzić! Wyobraża sobie pani? Jego biedni rodzice! – Przeciąga słowa, by podkreślić, jak bardzo ją to boli. – Muszą znosić takiego syna...

Amélie unosi dumnie głowę i spogląda na nią wyzywająco. Nie znosi tego rodzaju udawanego współczucia, które niezbyt

udanie maskuje upodobanie do roznoszenia złośliwych plotek.

– Doceniam pani troskę o moją reputację, madame Fontaine, pozwoli pani jednak, że sama będę podejmować decyzje – mówi Amélie uprzejmie, lecz jednoznacznie.

Nagle uświadamia sobie, że czuje silniejszą więź ze swoim sąsiadem przy stole niż z kimkolwiek innym w tej sali. Henri Matisse jest człowiekiem niekonwencjonalnym, a to coś, do czego była od dziecka przyzwyczajona. Od małego przysłuchiwała się w domu rozmowom anarchistów, którzy stracili nadzieję, pisarzy i poetów, którym nie dopisywało szczęście, zubożałych rolników i zrezygnowanych związkowców, i zawsze była całym sercem po stronie tych najsłabszych.

Amélie odprowadza wzrokiem matkę pana młodego, która idzie do swojego krzesła, zapewne przekonana, że spełniła obowiązek.

Kiedy jej sąsiad wraca, Amélie napełnia jego kieliszek. Henri chętnie upija z niego łyk.

Po chwili odprężającego milczenia Amélie wstaje i podaje mu dłoń.

– Zechciałby pan zatańczyć, monsieur Matisse?

Henri skupia na niej całą swą uwagę; w jego oczach jeszcze wyraźniej błyszczy ten chłopięcy entuzjazm, który widziała przez cały wieczór, po ustach błądzi mu uśmiech.

Amélie ma wrażenie, że w jej lekkomyślności kryje się coś, dzięki czemu czuje się silna.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada Henri i bierze ją za rękę.

Jego dłoń jest ciepła, pulsująca. Amélie wyobraża sobie pędzel między czubkami jego palców i płótno, na które nakłada farbę. I to, jak Henri zmienia energię wypełniającą całe pomieszczenie. Dobrze wie, że ten mężczyzna z pewnością nie jest poważnym

ani obiecującym kandydatem – to jego picie i niefrasobliwość... – nie może jednak zaprzeczyć, że jest zaintrygowana i czuje coś bliskiego pożądaniu. Z ochotą choć raz odrzuca własne zasady, zaskakując samą siebie.

Razem przechodzą na parkiet – oczy madame Fontaine otwierają się szeroko ze zdumienia – gdy orkiestra zaczyna grać żywą melodię.

Amélie wcale się tym nie przejmuje. W tej chwili i w tych, które nadejdą potem, będzie czerpać radość z tańca.

2

Paryż, 1897

Amélie ułożyła ciemne włosy w pierścień otaczający jej głowę – to jej ulubiona fryzura. Ma delikatne rysy twarzy i drobne kości, lubi więc optycznie je poszerzać i dodawać sobie powagi, jeśli tylko może. Dorastała w upalnym Beauzelle, w południowo-zachodniej Francji, blisko granicy z Hiszpanią. W jej żyłach prawdopodobnie płynęło więcej krwi hiszpańskiej niż francuskiej. Jej przodkowie bez wątpienia przywędrowali zza Pirenejów, oprócz jedzenia przynosząc ze sobą nadzieję na lepsze życie. W rezultacie ma bardzo niewiele wspólnego z tymi ponurymi ludźmi z północy, którzy dorastali w zimniejszym klimacie, z ich bladymi twarzami i rudymi włosami, szorstkimi dłońmi i surowym, stoickim usposobieniem. Amélie i jej siostra Berthe – młodsza o trzy i pół roku – dorastały w słońcu. Berthe już w wieku dziesięciu lat wiedziała, że chce zostać nauczycielką. Nie pociągały jej żadne inne, bardziej romantyczne drogi życiowe. I teraz uczy w szkole. Obie mają ciemne włosy i gwałtowne charaktery, jak każda kobieta z ich rodu. Robią wszystko po swojemu, bez zahamowań. Berthe lubi powtarzać, że pochodzą z rodziny „dzielnych ludzi”, a Amélie uważa, że to święta prawda.

Pod koniec przyjęcia weselnego Henri poprosił ją, żeby

spotkali się ponownie.

Przychodziło jej do głowy co najmniej kilka powodów, by mu odmówić, ale – być może za sprawą wina albo słów madame Fontaine – postanowiła nie sięgać po żaden z nich. Teraz czeka więc w kawiarni naprzeciwko Grand Guignol na Pigalle'u, w dzielnicy Paryża o nie najlepszej reputacji, ale za to tętniącej życiem, pełnej świateł i umalowanych kobiet. Nigdy nie peszyły jej rzeczy, które przyprawiały inne damy o palpitację serca.

Teatr jest otwarty przed sobotnim popołudniowym spektaklem. Ludzie ustawiają się już w kolejce po bilety, śmieją się, gawędzą i otulają szczelniej płaszczami, czekając, aż otworzą się drzwi i rozpocznie przedstawienie.

Amélie przysła wcześniej, nie może więc mieć do Henriego pretensji, że każe jej na siebie czekać, bo nie jest jeszcze spóźniony. To on zaproponował tę kawiarnię, gdzie kelnerzy są dyskretni, a kawa na tyle mocna, by zapewnić biednym studentom sztuki paliwo na całe popołudnie. Amélie czyta powieść, by wypełnić jakoś czas oczekiwania.

Kiedy dostrzega Henriego, zdaje sobie sprawę, że przez ten tydzień, który minął od ślubu Juliette, jego obraz przybrał w jej umyśle inne proporcje, musi więc dopasować ten obraz do rzeczywistego człowieka, który idzie teraz szybko w jej stronę, lawirując między ludźmi zebranymi przed teatrem, wpatrzony w nią i ukrywający coś za plecami.

– Nigdy w to pani nie uwierzy – mówi, gdy dociera do jej stolika. Nawet się nie przywitał.

Powoli, ostrożnie wyjmując zza pleców bukietik fiołków, które trzyma między kciukiem i palcem wskazującym.

– Szedłem tu z Luwru i proszę tylko spojrzeć! – Przysuwa obłoczek płatków pod jej nos.

Amélie wciąga w nozdrza delikatną woń, świeżą i leśną.

– Rosły w szczelinie między płytami chodnikowymi. Prawdziwe fiołki! Uwierzy pani? Po naszej rozmowie podczas wesela to musi być po prostu jakiś znak!

W jego brązowych oczach pojawiają się rozbłyśki zieleni. Amélie bierze od niego kwiaty.

– Powinien pan był je zostawić, żeby sobie rosły – mówi.

Henri opuszcza ramiona, jakby zniechęcony tą sugestią, że zrobił coś złego.

– A uwierzyłaby mi pani, gdyby nie zobaczyła na własne oczy dowodu?

– Pewnie nie – przyznaje Amélie. – To nie jest typowa dla fiołków pora roku, ale w odpowiednich warunkach kwiaty mogą pewnie zakiełkować o każdej porze. Szczególnie polne.

– Ale skoro już je mamy, to co powinniśmy z nimi zrobić? – pyta Henri. Wkłada łydgi do kieliszka z wodą i ich płatki unoszą się na powierzchni jak boje w morzu.

Amélie je wyjmuje, kładzie na obrusie i suszy oddechem. Tworzą plamkę różnych odcieni fioletu poprzecinaną żółcią. Płatki są maleńkie i delikatne; Amélie ma wrażenie, że roztopiłyby się na jej języku jak cukier. Czuje, że nie chce, by się porwały, wsuwa je więc między kartki swojej powieści i układa łydgi oraz płatki tak, by tworzyły jak najładniejszą kompozycję.

Henri przygląda się jej, gdy dociska kwiaty czubkami palców.

– Kolory wyblakną, a zapach zniknie, jeśli je pani ściśnie – uprzedza ją.

– Ich piękno jest z pewnością ulotne. – Amélie przypomina sobie własne słowa ze ślubu przyjaciółki. – Ale powinniśmy starać się zachować wszystko, co daje nam radość. – Dopiero teraz, gdy ma do czynienia z czymś, czego nie chce utracić, uświadamia sobie, jak paradoksalne jest to uczucie. – Może oprawię je w ramki – dodaje, zastanawiając się, jak wyglądałyby za szybą.

Artysta taki jak Henri mógłby je odwzorować za pomocą farby, zachować ich obraz, by zapamiętali je na dłużej.

Henri zamawia kawę i płaci kelnerowi, kiedy ten przynosi filiżanki do stolika.

– Muszę przeprosić za moje zachowanie na ślubie. – Wzdycha, zakłopotany. – Zwykle nie jestem taki wylewny. Denerwowałem się przed przemówieniem i w konsekwencji wypilem za dużo. Tamtego wieczoru było we mnie coś dzikiego, nieokiełzanego. Zwykle jednak jestem powściągliwym, poważnym człowiekiem. Wcześniej kładę się spać i wcześniej wstaję, by jak najlepiej wykorzystać dzień. Piję bardzo mało. Naprawdę – dodaje, widząc jej rozbawione spojrzenie.

Rzeczywiście, wydaje się poważniejszy i bardziej opanowany niż podczas przyjęcia ślubnego.

– Nadmierne picie to z pewnością kosztowny nałóg – mówi Amélie. – A wydaje mi się, że pana raczej na to nie stać – dodaje, dostrzegając szczegóły, które mógłby łatwo ukryć, gdyby tylko miał dość pieniędzy.

Zdaje sobie sprawę, że młody artysta bardzo chciałby poprawić swój wizerunek w jej oczach. Musi jednak sama zdecydować, która wersja tego człowieka jest prawdziwa.

– To prawda, że nie mam zbyt wiele – przyznaje Henri. – Ale jestem zdeterminowany. Co może pani uznać za zaletę albo, podobnie jak moi przyjaciele i rodzina, za brzemię. Żałują, że skupiam się na sztuce, a nie na świecie prawa czy biznesu. Uważają, że mógłbym żyć całkiem dostatnio. Ich zdaniem, wybierając sztukę, porzuciłem zdrowy rozsądek, co bez wątpienia jest prawdą, czułem jednak, że nie mam wyboru.

– Po co komu zdrowy rozsądek, jeśli nie prowadzi człowieka do pokusy? – pyta Amélie. Dodaje do kawy kostkę cukru, miesza i upija łyk. Zauważa, że tłum czekający przed teatrem zniknął.

Teraz na ulicy widać głównie służące i gospodynie domowe, z bagietką pod pachą, zakupami w koszyku, dziećmi w wózkach.

Henri przygląda jej się z zaciekawieniem.

– A do czego pani dąży, mademoiselle Parayre?

– Kiedyś chciałabym otworzyć własny sklep z kapeluszymi, żeby dzięki temu stanąć mocno na własnych nogach.

Henri chce się zaprezentować jako człowiek solidny i spokojny. Ona chce podkreślić swoją przedsiębiorczość i zdecydowanie. Mogłaby być dla niego sprzymierzeńcem. Dlaczego mężczyźni tak często czują się tym zagrożeni?

– Moja matka zajmowała się wyrabianiem kapeluszy – oznajmia Henri. – Jako dziecko byłem zafascynowany jej pudłem z materiałami i próbnikami kolorów. Kiedy mi pozwalała, pomagałem jej. Brałem ostre nożyce i wycinałem kształty, których potrzebowała. Z pewnością było to przyjemniejsze niż żmudna i ciężka praca w sklepie z nasionami. Ale większość dzieciństwa spędziłem przykuty do łóżka, nie mogłem więc dźwigać ciężkich worków, ku rozczarowaniu ojca. Na szczęście mój młodszy brat, Auguste, chętnie się tym zajmował. – Przerywa na moment i upija łyk kawy. – Na pewno ma pani talent – kontynuuje. – Chciałbym zobaczyć kiedyś pani projekty kapeluszy. Mógłbym nawet być pani modelem, choć pewnie nie przyciągałbym takiej klienteli, na jaką pani liczy.

Rozbawiona Amélie unosi brew.

– Moja ciotka ma sklep z kapeluszymi i świetnie jej się wiesz – mówi. – Pracuję tam przez większość tygodnia, projektuję i wyrabiam kapelusze, a czasem je też prezentuję.

– Mogłaby dodawać do każdego zakupu moją wizytówkę. Uwaga, mają państwo szansę zostać modelami najbardziej cenionego francuskiego artysty, niepodrabialnego Matisse'a – fantazjował. – Mówiłaby pani tym kobietom w modnych kapelu-

szach, że powinny korzystać z okazji, póki nie będzie za późno, bo kiedyś Matisse zrezygnuje z takich zamówień i zajmie się tylko liczeniem pieniędzy! – Opadł na oparcie krzesła, jakby ta wizja przyszłości całkiem go wyczerpała. – Jest pani niezwykle kobietą, mademoiselle. Mężczyzna z potencjałem wykazałby się wielką roztropnością, gdyby zechciał panią usidlić.

Przygląda jej się uważnie, a Amélie nie jest naiwna i dobrze rozumie, o co mu chodzi.

– Ile lat ma pana córka? – pyta, by zmienić temat i zachować odpowiedni dystans.

Henri wylewa na siebie resztki kawy.

– Ach, mała Marguerite, mój kwiatuszek... – rzuca speszony, ścierając plamy z koszuli. Najwyraźniej zapomniał, że mówił o niej podczas przyjęcia ślubnego. – Moja córka ma trzy lata. Jest pięknym dzieckiem, nieco chorowitym... Można powiedzieć, że pod tym względem przypomina ojca.

– A co z jej matką?

Henri trąca czubkiem buta gołębia, który szuka jedzenia pod ich stołem.

Amélie nie rozumie, dlaczego nie miałyby zadawać bezpośrednich pytań. Jej ojciec, gdy pracował jeszcze jako dziennikarz, zachęcał ją, by pytała o rzeczy trudne i kontrowersyjne we własnie taki bezpośredni sposób. Mawiał, że jeśli ludzie zaczynają się wtedy denerwować i wić z zakłopotania, to znaczy, że trafiła w czuły punkt. I że tam właśnie leży prawda. Amélie wciąż pamięta ten błysk w jego oczach, gdy jej o tym mówił. Armand Parayre, człowiek o wybitnej inteligencji i nieugiętych zasadach, dla którego sensem życia jest ujawnianie prawdy.

– Matka Marguerite odeszła ode mnie – odpowiada Henri.

Amélie oddycha z ulgą, zadowolona, że udzielił jej szczerzej odpowiedzi, że ujawnił trudną prawdę, która nie stawia go

w najlepszym świetle. Kiwa głową, otwierając drogę do dalszej rozmowy, czekając, aż Henri dopowie całą resztę – to kolejna sztuczka, której nauczyła się od ojca.

– Mieliśmy dość trudną relację. – Henri wzdycha ciężko.
– Nigdy nie układało nam się zbyt dobrze. W końcu, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, okazało się, że Camille nie jest w stanie tolerować niepewności towarzyszącej życiu artysty. A już na pewno nie artysty równie zdeterminowanego jak ja, by robić wszystko w niewłaściwy sposób, by tworzyć sztukę stanowiącą prawdziwe wyzwanie, a nie tylko schlebającą gustom tych, którzy wybierają najbardziej konwencjonalne dzieła. – Kręci głową z odrobiną urazy. – Moje próby pokazania światu nowego sposobu postrzegania były dla niej po prostu nie do zniesienia. Podczas naszego letniego pobytu na Belle-Île malowałem codziennie i właśnie wtedy doszła do wniosku, że woli zostać sama.

Przerywa na chwilę.

Amélie przypuszcza, że myślami jest właśnie tam, pośród skalistych urwisk, spienionych fal i zimnego wiatru, gdzie kobieta, którą kochał, pakuje się do wyjazdu, cała we łzach.

– Z pewnością wystawiłem ją na ciężką próbę – kontynuuje Henri. – Przykro mi, że Camille odeszła i że w akcie desperacji zabrała ze sobą naszą córkę. W przyszłym roku skończę trzydzieści lat i mam wrażenie, że moje życie wali się w gruzy. Ale skoro już tak szczerze o wszystkim opowiadam, to muszę przyznać, że czułem też pewną ulgę. Potrzebuję u mego boku kobiety, która będzie wierzyła w moją sztukę równie mocno jak ja. Kogoś, kto gotów jest dla niej poświęcić wszystko: wszelkie życiowe wygody i bezpieczeństwo.

– Poświęcić? – pyta Amélie podejrzliwie, zaniepokojona tym słowem. – Czy każda kobieta, którą pan pozna, musi być gotowa rezygnować z czegoś dla sztuki?

– Moim zdaniem poświęcenie życia dążeniu do czegoś, co jest większe od nas, nie jest oznaką słabości. Tylko najsilniejsi potrafią tego dokonać i przeżyć.

– Kobiety robią to nieustannie, ale rzadko uznaje się to za coś godnego podziwu.

– Sztuka to coś więcej niż szorowanie podłóg i cerowanie skarpetek – mówi Henri przekornym tonem, jakby chciał sprawdzić, czy ją sprowokuje, odnosząc się do tak wyświechtanych stereotypów.

– Nie rozumie pan, co znaczy być kobietą – odpowiada Amélie. – Nie rozumie pan tej mocy ani bólu. – Robi krótką pauzę, by się przekonać, czy on traktuje jej słowa poważnie. – Nie jestem żoną ani matką, ale widzę doskonale, że wszystko, co wiemy i czego potrzebujemy, zbudowane jest na pracy kobiet, na cierpieniach, które znoszą, by mężczyźni mogli odnieść sukces. Nasze społeczeństwo nie zauważa tego jednak.

– Ma pani rację. To jasne, że my, mężczyźni, jesteśmy pod wieloma względami ułomni i oszukujemy samych siebie, zakładając, że możemy nadrobić te braki, dążąc do wyższych celów – przyznaje. – Mimo to wciąż próbujemy.

– Sam pan jednak mówi, że kobieta musi się podporządkować jakimś wielkim planom, by pozostawić po sobie trwałe ślady. Że musi być inspiracją. A jednocześnie musi rodzić dzieci, wychowywać je, pielęgnować... brać udział w najwspanialszym akcie stworzenia. I nie oczekiwać przy tym żadnej wdzięczności, uznania czy wynagrodzenia?

– Gdybym poznał kobietę gotową zrobić obie te rzeczy, byłby to prawdziwy cud.

Tym razem to Amélie czuje się zakłopotana. Podnosi wzrok i widzi, że wcale się nie myliła: Henri, na swój niezwykły i prowokacyjny sposób, wyraźnie o coś ją pyta.

Nigdy nie była niewolnicą postępu ani spełniania oczekiwań innych. I wcale się nie spieszy do małżeństwa. Nagle jednak czuje coś, czego nie potrafi wyrazić słowami. Przez całe dorosłe życie szukała czegoś, z czym mogłaby się identyfikować, czegoś, o co byłaby gotowa walczyć, czegoś radykalizującego i pobudzającego do działania, czegoś, co rzucałoby światu wyzwanie, sprawiało, by stawał się inny, bardziej autentyczny. Jej zdaniem artyści cieszą się większą wolnością niż inni. Mogą egzystować poza ograniczeniami narzucanymi przez społeczeństwo, bez względu na to, czy wykorzystują tę swobodę dobrze, czy źle. Może w tej przestrzeni znalazłoby się również miejsce dla niej, dla jej ambicji i dążeń? Ma dość zasobów – finansowych i intelektualnych – by nie dać się stłamsić temu mężczyźnie, i kto wie, być może stałaby się katalizatorem, który dodałby mu odwagi i pchnął ku większym rzeczom?

Czyżby znalazła swoje powołanie w Henrim, tym dziwnym, bladym mężczyźnie, urodzonym w surowej, zimnej krainie na północy, gdzie tak bardzo brakuje światła? Amélie widzi, że on potrzebuje kogoś, kto uwierzy w niego i w to, co próbuje zrobić.

– A gdyby wydarzył się taki cud, co artysta bez grosza przy duszy obiecałby w zamian? – pyta.

– Nie mogę niczego obiecać – przyznaje Henri. – Jeśli pragnie pani stabilności, silnej ręki czy pewnej przyszłości, to znajdzie pani wielu mężczyzn znacznie bardziej odpowiednich niż ja. Odnoszę jednak wrażenie, że nie jest pani jak inne kobiety. Nie pozwoli się pani ograniczyć konwencjonalnym rozwiązaniom.

– Cóż... skoro składa pan tak atrakcyjną ofertę, kto mógłby odmówić?

Amélie nie potrafi powiedzieć, dlaczego to ma sens – ich dwoje razem – lecz wie, że tak jak z całą pewnością wysuszy fiołki, oprawi je w ramkę i powiesi na ścianie, tak i bez wątpienia

właśnie temu mężczyźnie, wbrew początkowym uprzedzeniom, gotowa jest poświęcić swoje siły. Dzięki niej stanie się kimś więcej – rozwinie się niczym rozkwitający pąk i wykorzysta swój potencjał z nią u boku. A ona dzięki jego obecności poczuje się istotniejsza.

Po chwili Henri dotyka jej palców i oboje się uśmiechają.

– Co pani o tym sądzi, mademoiselle Parayre? Myśli pani, że byłaby mnie w stanie tolerować?

Amélie przygląda się twarzy Henriego z profilu; patrzy na jego rzęsy, na rudawozłocistą brodę, na duży, ale proporcjonalny nos.

– Być może byłabym w stanie – odpowiada w końcu. – Najpierw jednak musiałabym odwiedzić pana pracownię i zobaczyć, w co się pakuję. A jeśli nie spodobają mi się pana dzieła? Muszę przyznać, że nie znam się specjalnie na sztuce.

– Sama pani uzna, czy są coś warte. Ja nie mam żadnych oczekiwań. Tak czy inaczej, chciałbym poznać pani opinię. Czuję, że będę sobie cenił pani zdanie.

Amélie jest zaintrygowana; chce zobaczyć prace Henriego, zrozumieć lepiej, jak ten człowiek działa.

Po raz kolejny jest gotowa na zaskoczenie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).